

GRABIEŻ KOŚCIELNEGO MIENIA W PRL

Autor: KAI

10.06.2011.



108 tys. hektarów ziemi, 3356 budynków, w tym 490 szkół i przedszkoli, 398 domów katechetycznych, parafialnych i rekolekcyjnych, 90 szpitali i sanatoriów, 1117 budynków mieszkalnych – tyle nieruchomości „przejęły” władze komunistyczne do 1964 r. w 19 diecezjach. Fale grabieży były przeprowadzane systematycznie i drobiazgowo. PRL niszczyła dzieła kościelne, zwłaszcza prowadzone przez zakony. Te liczby kryją ludzkie dramaty – bezdomność, głód, niepewność zakonników i zakonnicy, wyrzucanych z placówek, prowadzonych nieraz od stuleci. – Bądźcie gotowe na wszystko – mówił do zakonnicy Prymas Wyszyński, komentując bezprawie władz.

Ubecy, psy, wojsko

- Kilka dni przed 22 lipca 1962 r. (pewnie chcieli w ten sposób uczcić swoje święto) przyjechali ciężarówkami milicjanci i wojsko i otoczyli cały kompleks budynków. Takie byłyśmy dla nich groźne, może myśleli, że kilkadziesiąt zakonnicy obali ustrój – wspomina urszulanka szara, s. Ancilla Kujawska, która w tym czasie wykładała przedmioty zawodowe w Technikum Gospodarczym w Pniewach koło Poznania założonym jeszcze za życia Założycielki Zgromadzenia, matki Urszuli Ledóchowskiej.

– Kilka panów w cywilu oświadczyło matce generalnej Franciszce Popiel, że szkoła została upaństwowiona i że przejmują budynki. Było lato, więc w Pniewach przebywało sporo sióstr, które przyjechały na rekolekcje i mieszkały w internacie. Przechodzili od pomieszczenia do pomieszczenia, siostry musiały je opuścić po czym opieczętowali każde, byli ważni, budzili lęk. Ale my też chciałyśmy pokazać, że nie wpadamy w panikę, jeśli któraś z nas miała jakąś pracę do dokończenia mówiłyśmy, że muszą poczekać. Siostry, które nie były na stałe w Pniewach musiały się spakować i zostały wywiezione na dworzec specjalnie podstawionym autokarem.

Już od września usadowiła się w naszym budynku szkoła państwowa i jej nowi właściciele, którzy odgradzili „swoją” posesję drutem.

- Przyjechali do Miejsca Piastowego wczesnym rankiem w czerwcu 1952 r. – opowiada michalita ks. Mieczysław Gładysz, który wówczas uczył się w niższym seminarium zakonnym prowadzonym przez Zgromadzenie św. Michała Archanioła. Kilka ciężarówek z milicją i agentami UB z psami. Otoczyli teren i nikomu nie wolno było wychodzić, zaś przychodzących zatrzymywano. W jednym z pokoi rozsiadła się tzw. „Komisja Likwidacyjna”. Wzywała każdego ucznia seminarium (było nas około setki) i każdemu obiecywali złote góry, że jak pójdzie do szkoły wojskowej, to mu gwarantują dalszą naukę do matury i w wyższej szkole oficerskiej. Wielu się

zgodziło i porobiło później kariery, kilku nawet generałami zostało. Ja odmówiłem. Miałem wówczas 16 lat i chciałem iść do zakonu.

Dlatego po kilku tygodniach zgłosiłem się do nowicjatu w Pawlikowicach. Okazało się, że dokładnie w dniu mojego przyjazdu dom nowicjacki został przejęty przez władze i my pocałowaliśmy klamkę opieczętowanego budynku. Zebrało nas się pod tymi drzwiami 33 chłopów. O odbyliśmy krótką naradę i podjęliśmy decyzję: nie ma mowy, nie ustępujemy. Dookoła wszystkie budynki – szkoła zawodowa, liceum, warsztaty, które prowadzili michalicy, były już zagrabione w ramach wcześniejszych „porządków”.

Ponieważ nie mieliśmy gdzie spać, więc na nocleg udaliśmy się do stajni połączonej z chlewikiem. Na dole były konie i świnki, a my spaliśmy na piętterku, gdzie było trzymane siano. Ponieważ były ciepłe letnie dni, część kolegów spało na polu pod gołym niebem. Pola i łąki zagrabione Zgromadzeniu należały już do PGR-u, ale jego pracownicy jakoś nas tolerowali. Posiłki gotowały nam siostry, które prowadziły gospodarstwo pracującemu przy kaplicy księdzu. Siadaliśmy pod wielką akacją i jedliśmy. Z kwiatów tej akacji po obtoczeniu mąką wychodziły bardzo smaczne placki. Kobiety z okolicy przynosiły nam coś do zjedzenia – kapustę, kwaśne mleko, kiszony ogórek. Żeby zarobić na utrzymanie chodziliśmy do PGR-u do roboty. Chwytałem się każdego zajęcia – zbieraliśmy owoce, przerzucaliśmy siano, a gdy ścinałem kapustę, zjadaliśmy głąby, bo człowiek był głodny jak pies. Raz w tygodniu czterech nowicjuszy szło do Wieliczki, gdzie były wychowanek michalitów miał ubojnię i przekazywał w darze kości. Wielki skarb, można było na nich gotować zupy.

Grabież odgórnie planowana

Świadectwa zakonników są częstkową opowieścią o wielkiej grabieży mienia kościelnego zaplanowanego i przeprowadzonego przez komunistów po wojnie. W 1947 r. Minister Stanisław Radkiewicz na ogólnopolskiej odprawie „aktywu kierowniczego”, która odbyła się w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego, stwierdził, że Kościół jest „najbardziej zorganizowanym i silnym wrogiem, z którym trzeba się szybko zmierzyć”. Likwidacja przeciwników w celu zapewnienia sobie monopolu ideologicznego i całkowitego wpływu na obywateli była strategią systematycznie realizowaną.

Państwo komunistyczne „mierzyło się” z problemem kościelnymi etapami. Choć tuż po wojnie władze pozwoliły na normalne działanie istniejących i zakładanie nowych placówek, od 1947 r. zaczęła się systematyczna likwidacja placówek oświatowych, gdyż młodzież musiała być chroniona przed reakcyjnym wpływem zakonów. To wówczas kard. Stefan Wyszyński powiedział zakonnikom: Bądźcie przygotowane na wszystko.

Historyczka zakonów żeńskich s. Agata Mirek stwierdza, że do 1950 r. zlikwidowano 80 proc. szkół zawodowych, w 1952 r. nastąpiła grabież wszystkich seminariów, do połowy lat 50. przejęto 70 proc. domów dziecka, prowadzonych przez zakonnice. W 1950 r. upaństwowiono zakłady prowadzone przez diecezjalne Caritas, w których przeważnie pracowały siostry z wielu zgromadzeń. W tym samym roku zostały zagrabione także inne nieruchomości należące do zakonów. Skonfiskowanie gospodarstw rolnych i inwentarza pociągało zamierzony skutek – całe wspólnoty, pracujące w konkretnych placówkach pozbawiały żywności. Siostry nie miały nie tylko pracy i dachu nad głową, ale także nie miały co jeść.

S. Mirek opisuje konfiskatę domów i dzieł, należących do Zgromadzenia Córek Maryi Niepokalanej. To bezhabitowe zgromadzenie założone przez charyzmatycznego kapucyna o. Honorata Koźmińskiego i matkę Ludwikę Gąsiorowską pod koniec XIX w. poświęcało się głównie pracy z dziećmi i młodzieżą miejską. Szczególnie dramatyczna była sytuacja zakonnice w Nowym Mieście nad Pilicą, gdzie znajdował się dom generalny Zgromadzenia. Przebywały tam siostry stare, chore, a także nowicjuszki. Starsze nie miały ubezpieczeń i emerytur, więc zagrabienie gospodarstwa rolnego, które zapewniało aprowizację wspólnocie, skazywało je na głód. Władze posunęły się dalej – wydały zarządzenie dla piekarni i sklepów spożywczych żeby nie sprzedawać żywności zakonnicom.

Jedna z sióstr wspomina atmosferę, która towarzyszyła tym „przejęciom”: „Było niemal rzeczą śmieszną i urągającą wszelkiemu poczuciu sprawiedliwości, gdy p. minister Bida trzymając na swym biurku Pismo św., na protesty sióstr przeciw zabieraniu ich własności, przytaczał wyjątki z Ewangelii o ubóstwie z ironicznym uśmiechem – „Jak to, macie ślubowane ubóstwo, a walczycie o dobra materialne?”

Mimo masowo stosowanego bezprawia i grabieży, stopień zniszczenia kościelnych środowisk i dzieł nie zadawała rządzących. S. Mirek przytacza opis posiedzenia Komisji ds. kleru, które odbyło się w lipcu 1961 r. Wiceminister MSW Antoni Alster grzmiał: „Zakony się rozrastają, a my ich nie kontrolujemy, nic nie robimy, aby ograniczyć ich rozwój. (...) Mamy 29 tys. zakonnice, o których nie wiemy, co robią, należałoby pomyśleć o ewentualnej likwidacji zakonów. Teraz najważniejsze jest zabrać zakonnicom te trzydzieści tysięcy dzieci i młodzieży, które jeszcze wychowują”.

Ten plan został zrealizowany w późniejszych latach. Ale celem działań władz komunistycznych nie było jedynie odizolowanie młodzieży od wychowania religijnego, chodziło o likwidację życia zakonnego także poprzez uniemożliwienie formacji kolejnego pokolenia zakonnego.

Marianin ks. Tadeusz Górski opowiada o wypędzeniu księży marianów z placówki na Bielanach, w której mieścił się Zarząd Prowincji Zgromadzenia, a także seminarium zakonne. Był na pierwszym roku filozofii w ramach seminarium, gdy w lipcu 1954 r.

przyjechały ciężarówki wypełnione agentami SB. Otoczyli budynek i włamali się do klasztoru. Z pomieszczeń wyrzucali wszystko: meble, książki z biblioteki, archiwa zakonne. Wszystko wywieźli na Dworzec Gdański i wysłali do Gietrzwałdu. – Była nas około setka. Każdemu z nas zabrano dowód i w ten sposób straciliśmy zameldowanie w Warszawie. Zapakowano nas w kilka autokarów z napisem „wycieczka”, ale jeden z kleryków zagroził, że nie wsiądzie jeśli nie zdejmą tej tabliczki. W końcu ją zdjęli. Pojechalśmy i zawieźli nas do Gietrzwałdu.

Tam ulokowali nas w Domu Pielgrzyma, który był za ciasny i całkowicie zdewastowany przez Armię Radziecką, która tu wcześniej stacjonowała. Budynek był nieogrzewany do grudnia, więc marzliśmy. Żeby uzupełnić więcej niż skromne menu chodziliśmy na grzyby do okolicznych lasów.

Seminarium mariańskie przestało więc istnieć – klerycy podzielili się na grupy – filozofię studiowali w Seminarium Duchownym we Włocławku, teologię studiowali w Warszawie klerycy, którzy mieszkali w klasztorze na Pradze i nie zostali wywiezieni.

Trudniej było mnie przestraszyć

Dla czynnych zgromadzeń zakonnych zagrabienie mienia i prowadzonych przez nie placówek było równoznaczne z uniemożliwieniem realizacji ich specjalnych celów. Działalność zgromadzeń edukacyjnych, opiekuńczych, rehabilitacyjnych, szpitalnych została niemal z dnia na dzień brutalnie przerwana. Na początku lat 60., po przejęciu wszystkich przedszkoli, prowadzonych przez Caritas, zwolniono także wszystkie zakonnice, które w nich pracowały.

- Był to prawdziwy dramat, niektórzy nasi ojcowie niemal płakali – mówi ks. Gładysz. Zgromadzenie św. Michała Archanioła zostało założone na przełomie XIX i XX w. przez ks. Bronisława Markiewicza i zajmowało się zaniechaną ubogą młodzieżą, która otrzymywała wykształcenie i zdobywała konkretne zawody. Michalicy prowadzili drukarnię, wydawali czasopisma i książki. Grabież wszystkich placówek powodowała poczucie próżni i zagubienia. – Niektórzy księża niemal płakali na widok tego zniszczenia – wyznaje ks. Gładysz. – Uratował nas ks. Prymas, który wydał polecenie żeby zakonnicy z takich zgromadzeń lokowali się przy parafiach i tam realizowali w miarę możliwości swoje charyzmaty zakonne.

Nasza przełożona, matka Popiel, wysłała do 6-7 placówek na Ziemiach Zachodnich niewielkie zespoły złożone z kilku sióstr. Uważała, że absolutnie nie możemy zrezygnować i musimy kontynuować pracę apostołską – mówi s. Kujawska. Wspomina, jak bolesne było to przeżycie. – Przykro nam było, zwłaszcza z powodu uczennic. Dziewczyny były miłe i chciały się uczyć. Do dziś utrzymujemy z nimi kontakty. Dzwonią, piszą, przyjeżdżają na spotkania. Najpierw z dziećmi, teraz z wnukami. Świat nam się nie zawalił, ale przeżyliśmy duży wstrząs. A gdy panowie

już opuścili nasz klasztor po „inwentaryzacji”, matka Franciszka zebrała nas w kaplicy, padliśmy na kolana, a ona zaintonowała „Magnificat”.

- W skrzydle budynku, w którym dawniej mieścił się nowicjat, nowi „właściciele” urządzili dom starców – opowiada ks. Gładysz. Nowicjat trwał rok. Warunki były niemal syberyjskie, ale w tym czasie nikt z nas nie odszedł. Niektórzy odeszli dopiero później, ale to normalne. Trwaliśmy jakby z przekory, żeby się nie dać. Było głodno, chłodno i bieda, ale bractwo się trzymało. Atmosfera była taka, że nie odczuwaliśmy tragizmu tych czasów. Mieliśmy ponadprogramową szkołę życia, uczyliśmy się prawdziwej zakonnej wspólnoty. A nie ma silniejszej wspólnoty od wspólnoty w biedzie. Ta sytuacja miała jeszcze jedną dobrą stronę – gdy byłem już księdzem trudniej było władzom mnie przestraszyć.

ZA: KAI